

Kabaret w świecie totalitaryzmu

PREMIERA

Radomski „Cabaret” ma rozmach, na jaki pozwalają nie tylko gabaryty sceny Teatru im. Kochanowskiego.

Musicalowy „Kabaret” kojarzony jest przede wszystkim ze wspaniałym filmem Boba Fosse’a. Ale zarówno libretto, jak i scenariusz filmu opierają się na wydanej w 1939 roku powieści Christophera Isherwooda. Do niej to nawiązuje radomska inscenizacja Waldemara Zawodzińskiego, który świetnie sprawdza się w teatrze dramatycznym i operowym.

Obserwujemy oszalały, roztańczony międzywojenny Berlin, który nie zdążył jeszcze ochłonąć i zastanowić się nad istotą „wolności”, a już zareagował na nią desperackim wyuzdaniem. Wyczuwa się coraz bardziej gęstniejącą atmosferę totalitaryzmu.

Życie zaczyna więc przypominać zabawę na Titaniu, ludzie chcą się kochać, bawić, mimo wszystko. Kabarety rosną jak grzyby po deszczu. Tu trafiają życiowi utracjusze i artyści.

Powstało efektownie, sprawnie zrealizowane widowisko. Oprócz aktorów wystąpili tancerze, a nawet

kulturyści, a wszystko przyprawiono nieco bawarskim poczuciem humoru.

Można powiedzieć, że znane szlagiery duetu Joe Masteroff – Fred Ebb („Forsa”, „Życie jest kabaretem” i wiele innych) obronią się zawsze, o ile aktorzy nie będą im przeszkadzać. I w Radomiu z pewnością nie przeszkadzali.

Zawodziński chciał uciec od porównań z filmem. Zrezygnował więc z często pojawiającego się pomysłu, by dwie najbardziej widowiskowe postaci musicalu – Mistrza Ceremonii i Sally Bowles – ucharakteryzować na słynnych filmowych aktorów.

Mistrz Ceremonii (Łukasz Mazurek) przypomina kota, który daje się pogłaskać, ale też potrafi pokazać pazurki. Magdalena Placek jako Sally stworzyła portret kobiety-ćmy, która desperacko chce przeżyć życie, świadoma, że decyduje się na zatracenie.

Poruszająco i subtelnie zabrzmiał duet Izabeli Brejtkop i Jarosława Rabendy (Fraulein Schneider oraz Rudolf Schultz). Ernst Ludwik (Piotr Kondrat) to karierowicz i cynik, który istnieje w każdej epoce. ©P

—Jan Bończa-Szabłowski